

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatart śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth. Obecnie zesłańcze relacje drukuje też rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Eugeniusz Kunc – Wgnany z cichej własnej chaty**

Urodziłem się w 1927 r. we wsi Sztutowa, powiat Jaworów, województwo łwowskie. Miałem dwóch braci. Starszy był marynarzem, służył początkowo w marynarce wojennej, później w handlowej na statku Batory. Drugi uczęszczał do gimnazjum w Jaworowie, a ja najmłodszy do szkoły powszechnej. W grudniu 1939 r. władze radzieckie rozpoczęły rozkułaczanie „bogaczy”. Wyglądało to w ten sposób, że po oględzinach zborów płodów rolnych i inwentarza zabierano to, co zdaniem urzędników było zbędne właścicielom i rozdawano innym. W ten sposób zabrano nam jedną z dwóch krów i zboże. Następnie rozkazano przenieść się do sąsiada, bo nasz dom był obszerny i mogło w nim zamieszkać więcej osób. To były wstępne zabiegi, zapowiadające nadejście zła, okrucieństwa, bezprawia, ludobójstwa w imię niezrozumiałych celów nieuwzględniających praw człowieka zwłaszcza, jeśli tym człowiekiem był Polak).

10 lutego 1940 roku w nocy załomotano kolbami do drzwi. W domu byli rodzice i ja, 13-letni wówczas chłopiec. Kazano nam w ciągu pół godziny spakować się i wyjść. Ojca i mnie ustawiono pod ścianą z lufą karabinu przy głowie. Matka mogła zabrać tylko tyle, ile udzwignie. Wzięła pierzynę, trochę ciepłego ubrania i jedzenie. Ten tobołek wrzucono na sanie, a nas przez głęboki śnieg w trzydziesto stopniowym mrozie pędzono w nieznaną. Takich jak my było wielu. Spędzono wszystkich do Domu Ludowego w naszej wsi, który

napelnił się w krótkim czasie inną niż zwykle muzyką. Płacz małych dzieci, głodnych z zamarzniętymi pieluchami, na wpół odzianych w pośpiechu dorosłych, zrozpaczonych matek, ludzi starych, niedołączonych. Widać było strach o życie młodych mężczyzn.

Uformowano nas w kolumnę otoczoną z obu stron wojskiem i popędzono do Jaworowa. Już tej drogi nie mogły przeżyć niektóre niemowlęta, ludzie chorzy i starzy. Mróz, wiatr i śnieg sprzymierzyły się z naszymi wrogami. O pogrzebaniu lub choćby przysypaniu śniegiem i jakby nic się nie stało szło, się dalej. Każdy ludzki odruch rozpacz, żalu, chęci pochówku groził śmiercią.

Na dworzec kolejowy w Jaworowie spędzono bardzo wiele ludzi. Załadowano nas do wagonów. Na stojąco, w ścisłym konwoju zawieziono nas do Lwowa. Każdy jadł to, co miał ze sobą, dzielił się z tymi, którzy nie mieli nic, bo zapomnieli w pośpiechu zabrać. O picciu w ogóle nie było mowy. Można było za to polizać za darmo lód lub zjeść garść śniegu. Po wielogodzinnym staniu w nabitych do kresu możliwości wagonach dotarliśmy do Lwowa. Tu była przesiadka do pociągu towarowego i trwająca trzydzieści dni podróż w głąb Rosji – na Syberię.

W bydlęcych wagonach, ściśnięci, zmarznięci, głodni, spragnieni i wyczerpani jechaliśmy ku jeszcze gorszej niedoli. Okna były zakratowane a drzwi zamknięte z zewnątrz. Potrzeby fizjologiczne załatwiano się przez otwór wyrąbany w podłodze, z którego wiał silny, mroźny wiatr. Zakrywano więc kocem tę toaletę i co jakiś czas wyrąbano w niej znów otwór, bo wszystko natychmiast zamarzało. Na większych stacjach pociąg zatrzymywał się i można było wtedy wysłać 2-3 osoby po wodę, czasem dawano wodnistą zupę.

W tym wagonowym świecie byliśmy zdani sami na siebie. Tu przychodziły na świat dzieci, umierali i chorowali ludzie. Tu się sprawdzało człowieczeństwo, rodziła się i gasła wiara i nadzieja. Tu życie ludzkie nic nie kosztowało i nic nie znaczyło. Zmarłych wyrzucało się na śnieg, gdy pociąg jakby celowo przystawał w polu w lesie. Co się ze zwłokami potem działo, nikt nie wiedział. Trupami znaczone była nasza droga krzyżowa do Irkucka.

Z Irkucka przewieziono nas do tajgi, do miejscowości Chańza. W innych warunkach podziwiałbym piękno i dzikiej przyrody. Błękitną biel śniegu, uginające się pod ciężarem puszystej pierzyny gałęzie jodeł i świerków, przemykające zwierzęta, niezbyt bojące się człowieka i dym unoszący się z kominów baraków w czystym jak kryształ powietrzu. Moje nozdrza wychwytywały jego zapach drażniący podniebienie i przenoszony do wycieńczonych i wygłodniałych do ostateczności wnętrzości. Wkrótce miałem się przekonać, że zapachy dymu były wytworem mojej wyobraźni. Bo wszystko tam niestety cuchnęło – ludzie i to, co jedli.

Baraki były długie, drewniane, ustawione rzędami jak w typowym obozie. Wnętrze to olbrzymia hala przegrodzona przez środek korytarzem, po bokach poprzecinana niskimi ściankami. W jednej takiej przegrodzie umieszczano dwie lub trzy rodziny. W środku stały prycze bez sienników i to było całe wyposażenie naszego ówczesnego domu. Aby się tam wprowadzić trzeba było zacząć od zagotowania dużej ilości wody, aby wyparzyć prycze, ściany, podłogę i sufit niszcząc w ten sposób gnieźdzące się pluskwy i wszy. Tę czynność musieli wykonywać wszyscy jednocześnie, bo robactwo przechodziło ścianami i sufitem. I tak niewiele to dawało; larwy i jaja ukryte w zakamarkach desek

zostawały nienaruszone i z niespotykaną szybkością rozmnażały się i atakowały ludzi roznosząc przeróżne choroby. Co pewien czas wynosiło się pryczę i powtarzało wyparzanie. Efekty tych działań były jednak nikłe. Ludzie po ciężkiej pracy w tajdze nie mogli spokojnie zasnąć i wypocząć. Naszą pomysłowość w zwalczaniu insektów prześcigał ich instynkt głodu. Otóż, aby udaremnić pluskwom wchodzenie po nogach pryczę wstawiano te nogi w puszki napełnione wodą – wtedy robactwo topiło się. I tu mieliśmy się przekonać, że pluskwy są inteligentnymi stworzeniami. Zmieniały bowiem trasę wędrówki, wchodziły na sufit i stamtąd spadały na śpiących ludzi. Latem natomiast, gdy spało się na sienniku rozłożonym na podłodze, okładało się go wokoło łodygami świeżego piołunu, którego zapachu pluskwy nie znosiły. Ale i tak jak już wspomniałem, zabiegi te nie dawały pożądanego rezultatu.

Wszy zwalczało się inaczej. Była zbudowana łaźnia publiczna, w której stał specjalny piec nazywany odwszalnią. Nagrzewany był do odpowiedniej temperatury, aby nie zniszczyć jedyne ubrania. Tam wrzucało się odzież i bieliznę tępiąc na jakiś czas robactwo. Ludzie natomiast przechodzili do następnego pomieszczenia wykąpać się i wyparzyć. Całe rodziny w strojach Adama kąpały się wspólnie. Z początku było to bardzo krępujące. Nie zostawiono nam żadnego wyboru, tak że i z tym trzeba było się pogodzić.

Pracowaliśmy w tajdze przy wyrębie lasu. Tam nas pędzono co dzień i przypędzono wieczorem jak bydło. Ojciec, mimo, że ociemniały też musiał pracować. Ja służyłem mu za przewodnika, pomagając przy wszystkich czynnościach. Za pracę nie otrzymywaliśmy żadnego wynagrodzenia. Powiedziano nam, że odpracowujemy naszą podróż, bo Stalin nie funduje nikomu darmowych biletów. Jeśli ktoś zdobył w inny sposób niż przy pracy w tajdze pieniądze, mógł kupić 50 dag chleba dziennie (dzieci 30 dag). Moja matka na przykład strzygła włosy kołchożnikom, za co otrzymywała bądź kąsek pożywienia, bądź jakąś małą kwotę pieniędzy.

Od baraków można było oddalać się tylko na 100 m. Latem, które trwały bardzo krótko, wszystkie krzewy i chwasty w tym obrębie były wyjadane. Ciężka praca i słabe wyżywienie wyniszczały ludzi. Chorowali i umierali. Poumierały prawie wszystkie małe dzieci. W tajdze powstał olbrzymi cmentarz zaznaczony krzyżami z grubych drewnianych kłoców z nazwiskami zmarłych.

Również zachorowałem. Młody, rozwijający się organizm potrzebował odpowiedniego wyżywienia. Mordercza praca w tajdze i jedzenie chwastów doprowadziły do choroby przewodu pokarmowego- silnej biegunki zwanej przez miejscowych panos. Jedyne lekarstwem na te dolegliwość był węgiel drzewny, którego na szczęście w tajdze nie brakowało. To wycieńczało mój organizm do reszty. Zachorowałem na skorbut i kurzą ślepotę. Po zachodzie słońca nie widziałem nic, zupełnie nic. Z baraku do szaletu wychodziłem po sznurku.

W 1942 r. uwolniono nas z tajgi i mogliśmy już mieszkać i pracować tam, w lesozawodzie. Do kołchozu nas nie przyjęli, bo stanowiliśmy kiepską siłę roboczą. Jeździliśmy na cały tydzień do tajgi na wycinkę i wywózkę drzew. Pracowaliśmy używając siekiery i piły. Jako całotygodniowe wyżywienie mieliśmy wiaderko zamrożonych na kamień ziemniaków. Wiosną zbierało się na ściernisku pozostałe ze żniw kłoski, łuskało, tłukło na kamieniu i otrzymywało... kaszę i mąkę. Można też było pozbierać na polu ziemniaki pozostałe z jesieni, bo zbieranie ich jesienią było zabronione. Ze zamrożonego krochmalu

piekło się na blasze placki. Za ten luksus matka musiała w kołchozie odrabiać dniówki. Przez sześć lat pobytu na Syberii zjadłem jedno jajko, a raz nawet kotlety z konia, który padł ze starości i przepracowania w tajdze.

Gdy ludzie zaczęli masowo umierać z głodu, pozwolono nam skopać kawałek ziemi i posadzić ziemniaki. Jeśli trzeba było jechać gdzieś pociągiem, przy zakupie biletu miało się obowiązek wylegitymowania, wyjaśnienia gdzie i po co się jedzie, pokazania zaświadczenia z odwszawialni. Człowiek złapany bez tych dokumentów był wywożony kilkadziesiąt kilometrów w głąb Syberii i wypuszczany. Jeśli wypadło to w lecie, to pół biedy, jakoś przyszedł do domu, ale jeśli w zimie, to była niemal pewna śmierć. Mrozy ponad 40°C, oraz wilki i niedźwiedzie czekające na łakomy kąsek.

Obuwie, żeby całkiem się nie rozleciało, w zimie zawijaliśmy szmatami i oblewaliśmy wodą. Woda zamarzała na kość i lód nie przepuszczał wiatru i zimna. Poodmrażaliśmy uszy, ręce, nogi. Te odmrożenia były bardzo bolesne, szczególnie wiosną. Nawet już po powrocie do Polski przez kilka lat wiosną odmrożone miejsca zmieniały się w bolesną, ropiejącą ranę.

W tajdze ludzie umierali przy pracy. Wtedy zwłoki leżały z nami i czekały, aż po tygodniu wrócimy do domu. Nieboszczyków nikt się nie bał, gorzej było z żywymi. Chcąc wykopać mogiłę należało przez kilka dni i nocy bez przerwy palić ognisko, by ziemia odmarzła. Zwłoki trzymało się w pomieszczeniu ze względu na dzikie zwierzęta.

Każdy czekał z utęsknieniem na lato, które razem z wiosną i jesienią trwało tylko trzy miesiące. Wtedy można było znaleźć więcej jedzenia i nacieszyć się przepiękną przyrodą. Swój niewielki z powodu krótkiego czasu wegetacji wzrost roślinność nadrabiała przeogromnym bogactwem kolorów i zapachów. Takich barw kwiatów i owadów nie spotkałem już nigdzie, choć byłem potem w kilku krajach świata. Ale i ta beczka miodu była zaprawiona dziegiem. Niemiłosiernie atakowała jadowita muszka, a miejsce jej ukąszenia puchły i bardzo swędziały. Oślanialiśmy więc twarz i ręce czym mogliśmy.

Po pewnym okresie pracy w tajdze ojca przeniesiono do łżejszej pracy, został nocnym stróżem uprawnych pól. Jednak i w tej pracy trzeba było mu pomagać, bo jak może kogoś upilnować ociemniały człowiek?

Starszy brat znalazł się w armii Andersa, średni w Anglii, skąd od czasu do czasu przez Czerwony Krzyż przysyłał paczki z żywnością; boczkiem, czekoladą, kawą zbożową w kostkach, mlekiem. Były to małe ilości i na dobrą sprawę można było zjeść wszystko od razu. Ale matka dawkowała nam po kawałku, żeby na dłużej wystarczało i podtrzymywało siły. Wyprawa do urzędu pocztowego po odbiór takiej paczki była szalenie niebezpieczna. Osób, które dostawały paczki, było niewielu i każdy je znał. Urząd pocztowy był bardzo odległy od miejsca zamieszkania. Szło się wzdłuż torów kolejowych, bo zimą był z nich odgarnięty śnieg a latem rośło mniej trawy. W każdej chwili można się był spodziewać napaści wygłodzonego człowieka, obrabowania, a nawet śmierci, więc żeby nie zostać rozpoznany, zdesperowany, pozbawiony już ludzkich odruchów złodziej decydował się często na morderstwo. Nie raz moja matka uchodziła cudem z życiem z takich wypraw. Mając 16 lat zostałem głównym żywicielem rodziny. Instynktem dzikiego zwierzęcia zdobywałem pokarm i jakoś wychodziłem z tego cało.

Wreszcie koniec wojny. Wracamy do Polski. Wynędzniali, głodni, schorowani, ale szczęśliwi z nadzieją i wielką radością wsiadamy do wagonów wiozących nas do swoich. Nie ujrzał jednak polskiej ziemi mój ojciec. Zmarł 5 maja 1946 r. i został pochowany w Kazaniu. Wracaliśmy nie do swoich poprzednich miejsc zamieszkania, gdzie zostawiliśmy cały dorobek życia, lecz tam, gdzie nas więzli. Nieważne, aby do Polski. Transporty umajone były zieleńią, powiewały polskie flagi z orłem w koronie i doniosłe hasła. Niedobite serca ożyły wdychając powietrze pachnące wolnością. Spracowane ręce i plecy gotowe były do pracy dla Polski, wolnej i naprawdę naszej. Więcej jednak było w tym wyobraźni i uniesienia, niż przekonywujących faktów.

Osiadliśmy z matką w gospodarstwie rolnym w Gronowie koło Braniewa. Bez inwentarza, maszyn i narzędzi praca była ciężka i dawała mierne rezultaty. Z czasem jednak wiodło się nam coraz lepiej. Byliśmy panami na swoim i chciało się nam pracować w dzień i w nocy. Aż przyszła kolektywizacja i trzeba było ten swój dorobek wrzucić do wspólnego worka. Gdy odmówiłem, postraszono „białym niedźwiedziem”. Potem, już po kolektywizacji, znów zaczynanie od początku, z nadzieją, że to już naprawdę swoje. W niedługim czasie przyzagrodowa działkę zamieniłem w duże wielkotowarowe gospodarstwo z nowymi budynkami, domem i nowoczesnym parkiem maszynowym. „Dorobiłem się” również żony i trójki dzieci. Wspólnymi siłami utworzyliśmy wzorowe, nagradzane dyplomami i „wiechami” gospodarstwo. Dzieci jednak zdobyły zawody, poszły na swoje, a ja wraz z żoną przenieśliśmy się do miasta, zostawiając za rentę swoją ziemię. Zdrowie nie dopisało i powiedziało – dość. I znów muszę kombinować, żeby przeżyć, bo do ciężkiej pracy już się nie nadaję.

\*\*\*

### **Józef Mackiewicz – *Udało się nam przetrwać...***

Moi rodzice byli rolnikami, jako dziecko mieszkalem z nimi za Bugiem na Polesiu koło Berezki Kartuskiej. Ojciec za dobrowolną służbę na froncie w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku, otrzymał nieodpłatnie w 1930 roku dwadzieścia hektarów ziemi. Akt nadania, który z moją rodziną przetrwał pobyt w ZSRR jest dla nas szczególnym dokumentem.

Wywózka Polaków z naszej kolonii zaczęła się około trzeciej nad ranem. Była to praktycznie ciemna noc i pierwszy transport w historii masowych deportacji XX wieku na tereny imperium radzieckiego. Ludzie byli całkowicie zaskoczeni, bo niczego nie podejrzewali. Do naszego gospodarstwa przyjechał zespół NKWD składający się z kilku Białorusinów i jednego Rosjanina.

Mama od momentu wtargnięcia obcych cały czas płakała. Nie pamiętam czy na osobę czy na rodzinę można było zabrać 2 pudy bagażu, czyli około 16 kg. Rodzice wzięli o wiele więcej, a było to możliwe tylko dlatego, że trafił się im stosunkowo dobry Rosjanin. Gdy zobaczył stojący na płycie kuchennej czajnik, dał matce do zapakowania. Mama odpowiedziała, że jest dziurawy, ale on uparcie jej go dawał mówiąc „*bieri prigaditsja*”. Wynika z tego, że doskonale wiedział, jaki los czeka wysiedlanych. Na sanie spakowano pierzyny, ubrania, żywność i zawieziono nas na stację kolejową gdzie już stał podstawiony pociąg. Miałem wtedy 9 lat i nie na wszystkie szczegóły zwracałem

uwagę. Pamiętam, że wagony zaopatrzone były w prycze, ale trzeba było je jeszcze posprzątać i wyczyścić, bo poprzednio przewożono nim bydło oraz wyrąbać dziurę na toaletę.

Zimy w naszych okolicach zawsze były mroźne i obfite w śnieg, ale ta w 1940 roku była wyjątkowo sroga, jakby nam na złość. Byliśmy ciepło ubrani, ale i tak dotkliwie odczuwaliśmy chłód. Na stacji zastaliśmy już bardzo dużo ludzi. Zabierali całe rodziny leśniczych, gajowych, policjantów i osadników wojskowych. Wszyscy wchodzili do wagonów dobrowolnie, bo nikt nie chciał ryzykować pozostawienia swoich bliskich. Nie pamiętam czy odbywało się to według listy, czy kolejności przyjazdu na stację, ale biorąc pod uwagę, że nie mieliśmy bezpośredniego kontaktu z żadnym z mieszkańców naszej osady wynika, że umieszczano nas wg listy. W wagonie było bardzo ciasno, ale udało nam się ulokować na pryczy. Gdy zakończył się proceder załadunku, drzwi zostały zaplombowane, wartownicy zajęli swoje miejsca po obu stronach każdego wagonu i skład ruszył. Nie wiedzieliśmy gdzie jedziemy, tata powiedział tylko, że gdzieś do Rosji.

Jechaliśmy około dwa tygodnie, dni upływały monotennie. Każdego dnia pociąg się zatrzymywał i z wagonu wychodziła jedna osoba, która z wiaderkiem szła po wodę. Musiała nam ona wystarczyć, bo poza wodą zazwyczaj nic nie dostawaliśmy. Od czasu do czasu mogliśmy liczyć na niewielką ilość suchego chleba i herbatę. Przez cały czas podróży odczuwaliśmy zimno, w naszym wagonie nie było żadnego piecyka, który mógłby nieco ogrzać nasze skostniałe od chłodu ciała. Niejednokrotnie zdarzało się przymarznąć do ściany wagonu.

Pod koniec lutego 1940 roku dojechaliśmy do Archangielska. Podczas tej podróży nikt z naszego wagonu nie próbował uciekać, podobnie jak nikt nie zmarł. Jednak na jednym z postojów zauważyłem, że wyniesiono ciało dorosłej osoby i zostawiono je na ziemi. Nie zrobiło to na mnie większego wrażenia, bo po prostu tego nie rozumiałem.

Na stacji kolejowej czekały już na nas podwozy, czyli konie z saniami oraz samochody ciężarowe nakryte plandekami. Ale zanim rozpoczęła się dalsza podróż, obowiązkowo musieliśmy skorzystać z łaźni, a nasze ubrania zostały poddane procesowi odwszawiania. Na samym końcu dostaliśmy po misce zupy. Nieco nas ona rozgrzała, bo było bardzo zimno. Jechaliśmy samochodem, jazda była niesłychanie uciążliwa. Ścisk ludzkich ciał i wszelkie niedogodności związane z podróżą i niepewnością nie były nam obce od czasu, kiedy musieliśmy opuścić nasze bezpieczne domy, ale spaliny, które dostawały się do wnętrza spowodowały, że prawie wszyscy odczuwaliśmy silne bóle głowy i mdłości. Po około 200 km, wysadzono nas w miejscowości Kargowina. Pasiótek ten, dziś jest to wieś w obwodzie archangielskim, od wielu lat wykorzystywano jako obóz pracy przymusowej. Poprzedni jego mieszkańcy, czyli więźniowie zostali przeniesieni w inne miejsce, a nam kazano się tutaj rozlokować. Nazwę Kargowina jak się wkrótce dowiedzieliśmy tłumaczono jako miejsce kary za winę.

Teren łągru otoczony był lasem ale nie był ogrodzony, składał się z jednego wielkiego drewnianego baraku i kilku mniejszych. Nadzorowany był przez NKWD. Nie musiał być ogrodzony, bo otaczający las był tak potężny, że żadnemu myślącemu człowiekowi choćby nie wiem jak był zdeterminowany do głowy nie przyszło, aby podjąć próbę ucieczki, bo takowej nie było. Chyba,

że ktoś chciał podjąć próbę samobójczą. Ponadto między drzewami wiły się różnej szerokości dopływy rzeki Dwiny, a zdradliwie zarośnięte bagna miały po 3-4 metry głębokości.

Zasiedlanie łagru odbywało się według przygotowanej listy, funkcjonariusz wyczytywał nazwisko i wskazywał barak. Trafiliśmy do domku z trzema pokojami. W każdym z nich zamieszkała jedna rodzina. Dużym udogodnieniem były znajdujące się w zajmowanych pomieszczeniach kuchnie, na których można było przygotowywać posiłki.

Po przyjeździe było chyba kilka dni wolnych a później zaczęła się dla nas wszystkich ciężka praca. Początkowo traktowany byłem jako dziecko i do momentu ataku Niemców na ZSRR chodziłem do szkoły. Dzieci w wieku przed-szkolnym pozostawały pod opieką starszych na terenie obozu.

Na śniadanie dostawaliśmy w miejscowej stołówce wodę, przynosiliśmy ją do swojego domku i z przydzielonego chleba przygotowywało się posiłek. Chleb otrzymywaliśmy na kartki, pracujący po 600 g, a dzieci po 200 g. I po takim posiłku wyruszało się do pracy niosąc ze sobą łomy do wykuwania z zamrożonych w lodzie niespławionych kłód, które następnie były składane i wywożone na brzeg rzeki.

Wracaliśmy do obozu, gdy było ciemno i pierwsze kroki zazwyczaj kierowaliśmy do stołówki po przydzieloną, bardzo rzadziutką zupę. Potem było trochę wolnego czasu na rozmowy, zabawy z rówieśnikami, sen i tak kolejne dni upływały. Od czasu do czasu, gdy udało się nam wykonać nieco planu ponad normę mogliśmy liczyć na drugie danie, którym była kasza czymś tam okraszona. Mięso końskie mogło znaleźć się w zupie lub w kaszy, ale tylko wtedy, gdy jakiś koń zakończył swój ciężki żywot.

Nie odczuwałem zbyt strachu przed warunkami, w których przyszło mi żyć, bo cały czas przebywałem w otoczeniu osób mi bliskich i kochających. Różnica wieku między moim starszym rodzeństwem była na tyle duża, że oni także starali się, aby mi niczego nie brakowało. Do czasu deportacji nie znałem na pewno wesz i pluskiew, które nie tylko mi strasznie dokuczały, chociaż mama bardzo się starała abym miał włosy bez insektów. Pluskwy zadomowiły się nie tylko w barakach, ale atakowały nas nawet w lesie, bo siedziały pod korą drzew.

Stosunki między naszą rodziną a pilnującymi nas funkcjonariuszami nie należały chyba do złych jeśli ojciec mógł pozwolić sobie na wyrażanie swoich opinii na temat dalszego przebiegu II wojny. Udowadniał jednemu z enkawudzistów, że Niemcy też uderzą na ZSRR. Dla Rosjanina było to niepojęte, pytał ojca skąd to wie? Ten odpowiedział krótko, bo znam swoich sąsiadów. Gdy rzeczywiście słowa ojca się sprawdziły, wartownik przed wyruszeniem na front przyznał ojcu rację i pożegnał się z nim.

Do wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej w czerwcu 1941 roku, wegetowaliśmy w tych skrajnych warunkach, jakoś sobie poukładaliśmy nasze myśli i pogodziliśmy z zastanym porządkiem, bo nie było żadnej nadziei, że coś się zmieni. Ale trudne chwile miały dopiero nadejść. Najgorzej żyło się nam w okresie 1942-1943 roku ze względu na panujący głód. Latem było nieco łatwiej zdobyć coś do jedzenia, bo w tajdze rośło np. bardzo dużo jagód i z każdego zbioru niewielkie ilości mama mogła ususzyć. Na pokrzywy nie mogliśmy liczyć, bo w promieniu kilku kilometrów były zerwane. Gdy nadchodziła jesień

zbieraliśmy żurawinę, która po kiszeniu była dla nas zimą źródłem witamin oraz różne grzyby. Do przygotowywania suszu zrobiłem z cegły niewielki piecyk. Paliło się w jego wnętrzu drzewem i gdy tylko pozostawał żar wkładało się do niego blachę z owocami lub grzybami. Innym sposobem pozyskania czegoś do jedzenia był handel wymienny, mama chodziła do wsi i w zamian za jakąś odzież przynosiła mąkę, kaszę, coś z nabiału. Próbowaliśmy z bratem od czasu do czasu założyć jakieś wnyki, podkraść jaja ptakom i polować na nie. W pobliżu przepływała rzeka, z której łowiono ryby. Zamarzyłem sobie wzbogacenie naszej skromnej diety o posiłek rybny. Oczyma wyobraźni widziałem już zadowoloną minę moich najbliższych, gdy przyniosę taką zdobycz. Ale na marzeniu się skończyło, bo ja nie miałem szczęścia. Razem z kolegą mieliśmy jednakowe wędki, bo sami je zrobiliśmy, co on zarzucił wędkę to wyciągał rybę a ja nic i nic. Zamieniliśmy się wędkami i on ponownie wyciągał ryby a ja nie. Sytuacja ta bardzo mnie sfrustrowała i kolejny raz na wędkowanie już nie poszedłem.

W tym okresie głodu, kiedy umierało bardzo dużo osób, dotarł do naszego obozu transport rosyjskich inwalidów przywieziony z frontu. W przeciągu dwóch tygodni wszyscy z nich zmarli i musiano ich pochować.

Oprócz głodu, dotkliwie odczuwaliśmy także brak obuwia. Do pracy w lesie dostawaliśmy kufajkę i spodnie, ale przydział na walonki był niewielki i nie dla wszystkich wystarczał. Ratowaliśmy się na różne sposoby, najczęściej wykorzystywaliśmy gruby materiał i z niego robiliśmy onuce, na nie nakładaliśmy plecione ze sznurka łapcie, które zawiązywało się pod kolaniem. Niektórzy wsadzali jeszcze tak obutą nogę do wiadra z wodą i gdy ona zamarzła tworzyła się dość dobra warstwa izolująca. Prawdopodobnie w nogi było ciepło.

Po 3 latach przewieziono nas w głąb tajgi do Szengen, do innego obozu, odległego od Kargowiny o około 18 km, prawdopodobnie za jakieś przewinienie dokonane przez naszego ojca. Obozowe baraki leżały nad rzeką Szenga. Za łapówkę w postaci skarpetek udało się nam zamieszkać w drewnianym domku a nie wielkim baraku. W naszym położeniu nic się nie zmieniło, nadal praca była ciężka, warunki atmosferyczne niesprzyjające a ilość pożywienia niewielka. To wszystko powodowało, że wiele z osób, które przybyły z naszym transportem zachorowało i zmarło. Po jednej z epidemii malarii obowiązkowo musieliśmy zażywać chininę.

Zimą pracowaliśmy przy wyrębie tajgi. Bardzo często musieliśmy z piłami i siekierami przebrnąć przez śnieg kilka kilometrów. Kobiety obcinały konary z drzew ściętych przez mężczyzn, a młodzież odrąbywała mniejsze gałęzie i je paliła. Musieliśmy uważać, aby podczas gdy płonęło wielkie ognisko nie podchodzić zbyt blisko do ognia, bo strzelające na odległość kilkudziesięciu centymetrów pod wpływem temperatury jodłowe gałązki mogły nas poparzyć. Gdy uporano się ze ścięciem drzew należało je pociąć na mniejsze odcinki (1,4,6 metrowe) i przetransportować nad brzeg rzeki. Z cienkich drzew robiono szyny i po nich ciągnięto te kłody lub pakowano na specjalnie przystosowane do transportu wagoniki. Koni było niewiele dlatego musieliśmy sobie sami radzić. Gdy była możliwość wykorzystywaliśmy wzniesienia, aby te pnie toczyły z górki. Na brzegu rzeki bale wiązano linami lub łańcuchami w większe pęczki i pozostawiano do wiosennych roztopów. Rozlewająca się szeroko woda pozwalała na łączenie pływających pakietów w jeszcze większe pęczki tzw.



*bukszirki*, które następnie zaczepiano do holownika i płynęły Dwiną do Archangielska. Prawdopodobnie wykorzystywane były do budowy schronów. Długo w lesie nie pracowałem, bo przeniesiono mnie do stolarni, w której zajmowałem się reperacją połamanych i zniszczonych sań.

Latem w tajdze nie prowadzono wyrębu, ale wciąż musieliśmy w niej pracować np. musieliśmy nazbierać określony kontyngent jagód. W obronie przed uciążliwymi meszkami i komarami wchodząc do lasu nakładaliśmy na twarz tzw. nakomarniki, taki worek, który z przodu zaopatrzony był w siatkę podobną do tej, którą używają pszczelarze. Nie baliśmy się chodzić po lesie, chociaż raz spotkałem niedźwiedzicę z małym, ale dzięki Bogu nie zauważyła mnie i dlatego żyję.

Na wiosnę 1944 roku nasz los się nieco poprawił. Przede wszystkim dostaliśmy amerykańską zapomogę żywnościową, a ja zapamiętałem z niej smak czekolady i gumy do żucia. Oprócz jedzenia w paczkach przeznaczonych dla rodzin znajdowały się ubrania czyli wojskowe buty, bluzy, bielizna. Wkrótce też siostra znalazła zatrudnienie w kuchni i od czasu do czasu mogliśmy otrzymać nieco gęściejszą zupę.

Informacja o możliwości zaciągnięcia się do armii Andersa nie dotarła do nas, ale gdy tworzono armię Berlinga ojciec został do niej wcielony. Brat, który nie podlegał poborowi także chciał wyruszyć na wojnę. Wiem, że stawił się na komisji wojskowej i podał nieprawdziwe dane. Od tamtego czasu w jego dokumentach widniał rok urodzenia 1924 a nie 1925. Mama jak każda matka i żona bardzo płakała i przeżywała rozstanie. Później już nie pokazywała tego po sobie, ale żyła w wiecznym strachu, czy nie otrzyma z frontu złych wiadomości.

W obozie zostaliśmy we trójkę, mama, siostra i ja. Długo jednak tam nie pozostaliśmy, gdyż przyszła decyzja o naszym wyjeździe na Ukrainę. Zamieszkaliśmy w sowchozie około 100 km od Charkowa. Zakwaterowano nas wraz z innymi Polkami w dużym budynku. Każdy zajął niewielki skrawek podłogi. Tutaj nie było rarytasów, ale głód nie wyniszczał naszych organizmów. Gdy brakło pszenicy na chleb to pieczono go z prosa. Kołchoźnicy mogli mieć swój inwentarz, najczęściej była to krowa, posiadali działki, na których uprawiali warzywa i nadal mógł kwitnąć handel wymienny.

Mama z siostrą pracowały na miejscu w sowchozie, a ja w warsztacie. Przygotowywaliśmy maszyny do prac polowych i usuwaliśmy usterki. Plony na polach należących do sowchozu były słabe, ale wynikało to z nieumiejętnego uprawiania tych ziem. Siano przede wszystkim pszenice, żyto i proso.

Z frontu rzadko przychodziły listy, w jednym z nich tato pisał, że walki pod Lenino były bardzo ciężkie, że zginęło bardzo dużo Polaków. Im udało się przeżyć i Lenino i cały szlak bojowy. Dotarli aż do Berlina. Ojciec służył w brygadzie artylerii chyba w stopniu kaprała, a brat był w łączności kablowej i tylko on z wojny w swojej głowie wyniósł odłamki. Nie służyli razem, ale wiem, że czasami się spotykali. Ojciec z wielkim oburzeniem i wzruszeniem wspominał, że musieli stać przed Wisłą i nie pozwolono żołnierzom przystąpić do walki, kiedy wykrwawiali się powstańcy warszawscy.

W 1946 roku pojawiła się możliwość naszego powrotu do kraju. Jego warunkiem jednak było udowodnienie, że się jest Polakiem. Rodzice podczas pakowania się zabrali nieco dokumentów, między innymi znalazła się opłata podatku potwierdzona przez softysa. Nie wszyscy mieli dokumenty, ale części

Polakom udało się wyjechać dzięki małym oszustwom, które polegały na tworzeniu fikcyjnych zaświadczeń. Kopiowym ołówkiem pisało się treść i podbijało pieczętką wykonaną z ugotowanego białka jaja. W świetle 17 września 1939 roku, nie wiem czy nasze działanie można nazwać niemoralnym? Po zakończeniu wojny okazało się, że bracia i siostra mojego ojca nie uniknęli tułaczego losu, służby NKWD zapukały również do ich drzwi.

Wracaliśmy do Polski zimową porą, kierowcą samochodu była kobieta. Nasz pojazd do najsprawniejszych nie należał, wciąż coś skrzypiało i jechało się z wielkim trudem. Gdy odmówił posłuszeństwa nasza pani dosyć sprawnie wyjęła spod silnika jakieś podkładki, aby zmniejszyć luz i dalsza droga do najbliższej stacji kolejowej odbyła się już bez żadnych kłopotów. Spotkanie z ojcem i bratem nastąpiło w Białej Podlaskiej i dla naszej rodziny rozpoczął się nowy etap życia.